

JACEK WRÓBLEWSKI: **Dzień dobry. Naszym gościem jest dziś pan Witold Krotechwil, jeden z pionierów muzyki dixie w Polsce, warszawiak. I od tego może zaczniemy, że lata 50., kiedy pan zaczynał, to były takie lata, które miały społecznie jakby dwa zupełnie różne okresy, bardzo wyczuwalne właśnie w Warszawie przede wszystkim. Był to tak okres zwany stalinizmem, bierutyzmem, potem nastąpiła odwilż gomułkowska. Jaka po pierwsze była właśnie taka różnica w życiu, czy to się w ogóle da z czymkolwiek porównać?**

WITOLD KROTOCHWIL: Muszę zacząć od tego, ja jestem oprócz że warszawiakiem, to jestem prażaninem, skończyłem gimnazjum Władysława IV na Pradze i zrobiłem maturę w 1955 roku, czyli moje gimnazjum wypadło na ten bardzo trudny czas stalinowski. Nie wiem, skąd wzięło się zainteresowanie jazzem u mnie, ale zaczęło się...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Nie wie pan?**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie, nie wiem, nie wiem skąd.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Bo ogół na każde "coś" coś się stało, coś jest...**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie wiem. W sensie na pewno bardzo ważną sprawą było to, że w klasie 10 spotkałem się z Jurkiem Bartzem. Ja byłem troszkę za młody, Jurek był troszkę za stary, ja miałem wtedy 16 lat. Właściwie to był 1954 rok, natomiast na Nowym Świecie grała Orkiestra Mazurkiewicza. Jurek, który był starszy ode mnie, miał prawo tam wejść i wtedy były bardzo popularne i kradzione, że tak powiem, rytmy południowo-amerykańskie, no bo Kubańczycy nasi przyjaciele itd. I beguine, mambo, samba wtedy zaczynały się. A ja nie wiem, skąd nauczyłem się grać boogie-woogie. I to przykra historia z tym jest, dlatego że mieliśmy olbrzymią aulę, gdzie były organizowane potańcówki, do nas przychodziły dziewczyny z gimnazjum Żmichowskiej, one siedziały po jednej stronie, my po drugiej i taka jakaś orkiestra była, którym grała tanga, walczyki oczywiście, ale ja już tam grałem coś...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Więc zaczął pan grać boogie-woogie?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, i ta zabawa, prawda, gram boogie-woogie i wtedy tańczący, koledzy, koleżanki zaczynają puszczać, prawda, nie tańczyć tradycyjnie, tylko tańczyć nagle w sposób zachodni, prawda? I wtedy wkroczyli ludzie z ZMP i to się nazywa lekka kawaleria, lekka kawaleria to byli aktywiści ZMP od na przykład zapędzania nas na tzw. masówki, żebyśmy protestowali

przeciwko wojnie w Korei czy coś takiego, prawda. Więc to byli tacy aktywiści, którzy nie wypuszczali nikogo ze szkoły, bo myśmy oczywiście chcieli uciec, a oni nas trzymali w środku, no i ci właśnie... No i jakieś tam były konsekwencje, jakieś dyscyplinarki, coś takiego.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Ale nie wyrzucano ze szkoły?**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie pamiętam, żeby wyrzucano... Wyrzucili kolegów, których rozpiętość wieku była, to było po wojnie, była bardzo duża, byli prawie dorośli ludzie niektórzy, a ja... 4 lata rozpiętości w jednej klasie. Pamiętam, że wyrzucili kolegów, którzy poszli pod ambasadę amerykańską.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Czy był pan w stanie dokończyć to boogie-woogie, czy przerwano?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, ja dokończyłem, a później miałem wielki niesmak, bo byłem zajęty graniem, a później się zorientowałem, że albo mnie podpuścili, albo wykorzystali, po prostu miałem wielki niesmak. Ale co chciałem powiedzieć jeśli chodzi jeszcze o te początki, to PRL, tam była jedna dobra rzecz, że żeby móc indoktrynować wszystkich, to było coś takiego jak działalność kulturalno-oświatowa, co było formą propagandy i indoktrynacji. I w związku z tym był wszędzie tzw. kaowiec, czyli ten od kulturalno-oświatowej działalności. Myśmy w jakiś sposób znaleźli, ja z Jurkiem, przy galanterii, były Spółdzielnie Galanterii Metalowej na Targowej na Pradze, świetlice, gdzie co mieli? Mieli perkusje, kontrabas, akordeon i pianino. Oczywiście Jurek nie miał perkusji, więc to była jego pierwsza możliwość grania na perkusji i myśmy tam, to było jeszcze w tym okresie południowoamerykańskich rytmów, którymi Jurek bardzo był zainteresowany, myśmy się nazwali "Mambo" i żeśmy grali tam oczywiście przy tej świetlicy, jakiś tam program zrobiliśmy, były jakieś tam... Przychodzili tańczyć chyba, coś takiego, do naszej muzyki. I od tego się zaczęła, że tak powiem, budowa zespołu.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, jak to się stało, że panowie się tak podzieliliście? Że pan siadł akurat do fortepianu, ktoś wziął kontrabas, Jerzy Bartz do perkusji...**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak ciężko jak kontrabasisty... Nie wiem jak to, w każdym razie jak to było, to dokładnie nie wiem.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Po prostu tak się stało nagle? No bo potrzebny jest, trzeba na czymś zagrać, no to spróbujmy.**

WITOLD KROTOCHWIL: Mieliśmy potrzeby wyżycia się jakiegoś, prawda. Pamiętam, że tam było kilku muzycznych kolegów w szkole, żeśmy już wtedy odkrywali akordy zmniejszone i takie rzeczy. Później pamiętam, że skończyliśmy szkołę w 1955 roku, w maju, prawda, matury '55 rok, i później zaczęliśmy studia. W jaki sposób później znaleźliśmy się i jak żeśmy się skontaktowali, później pamiętam, że z kolegami muzykami, z którymi później zrobiliśmy nową orkiestrę i znowu błogosławieństwem była świetlica czy jakieś coś takiego, przy jakimś Ministerstwie, chyba Handlu Zagranicznego.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, jak w ogóle można było się dostać do takiej świetlicy?**

WITOLD KROTOCHWIL: A żebym ja wiedział...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Przecież ktoś musiał wydać decyzję.**

WITOLD KROTOCHWIL: Ale coś takiego było, że wtedy, że było jakieś zainteresowanie, to już się zbliżał, to już był rok 1955, to już się zbliżała odwilż jakoś.

JACEK WRÓBLEWSKI: **I już się dawało wyczuwać jakieś takie ulgi?**

WITOLD KROTOCHWIL: Dało się wyczuwać, absolutnie tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Nie było to tak, że jednego dnia nie wolno, drugiego...**

WITOLD KROTOCHWIL: Co wiem na pewno, że byliśmy tam już w tej świetlicy przy chyba Ministerstwie Handlu Zagranicznego na Frascati chyba, i tam już zaczęliśmy grać dixieland. Tam przyszedł Zbyszek Namysłowski, tam przyszedł Sis Orłowski, tam był też Adam Skorupka z nami w różnych konfiguracjach później. No już i ci wszyscy, jakoś tam żeśmy się zbierali. Pamiętam, że na pewno już żeśmy tam działali w 1956 roku na wiosnę, bo straszne świństwo nam zrobił Bierut, bo umarł w 1956 roku i jakieś tam nie wiem czy próby, czy jakieś koncerty musieliśmy odwołać. Tak że ten moment doskonale pamiętam, a to był marzec 1956 roku. I to już tam żeśmy działali na tym, i wtedy, jak żeśmy zrobili orkiestrę, to zaczęły się grania do tańca, wtedy to było tak jak rock and roll, to myśmy grali na różnych zabawach. Nie było żadnych lokali specjalnych, tylko to były jakieś baraki, jakieś nie wiem.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, gdzie w ogóle się grało, z jakich okazji?**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie wiem, to byli jacyś, którzy aranżowali to i myśmy grali i zarabiali.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Przychodził ktoś do państwa, mówił, że jest zapotrzebowanie, czy trzeba było samemu szukać?**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie, nie, samemu nie, nas szukano. Nas szukano i to była taka historia, że Warszawa wtedy była cała w parkanach, wszystko było w budowie i na tych parkanach było mnóstwo afiszy, m.in. po prostu afisz "Krotochwil gra tu i tu". Dlatego to jakoś tak wyszło samo z siebie, trochę takie niezwykle nazwisko, może dlatego, jakby był Kowalski, to może by nie wzięło, ale to jakoś tak poszło. Ja też po prostu organizowałem wszystko, ja byłem tym, co pilnował, prawda, kolegów, żeby bałaganu nie robili.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Pewien management już zaczynał się robić, to bardzo szybko poszło, bo przecież 1955 rok, pan mówi "coś tam próbowaliście", a w 1956 już była pełna kapela. Właśnie. I teraz takie pytanie, bo zaczęło się jako zabawa, w którym momencie nagle stwierdził pan, że: "A może to jest sposób na życie"?**

WITOLD KROTOCHWIL: Wie pan, nie wiem. Ja nigdy nie myślałem, że to sposób na życie, ponieważ jakoś nie wierzyłem w te możliwości, prawda, że była strasznie fajna zabawa. Chyba tak dalekosiężnie nie myśleliśmy jeszcze, 18 lat miałem.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Czyli rozumiem, że z jednej strony pan grał, a z drugiej jednak pan studiował?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, studiowałem na politechnice, z tym że zawałem tę politechnikę, bo to nie była moja bajka. Tak że później była właściwie tylko muzyka przez parę lat, a później dopiero w 1960 roku poszedłem na polonistykę.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Ale rozumiem to, czyli został pan niejako trochę muzykiem na tych parę lat z przymusu?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, tak. Oczywiście.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Z czegoś trzeba było żyć.**

WITOLD KROTOCHWIL: To nas bardzo wciągnęło, bo myśmy byli na fali, jak już później byliśmy. No właśnie mówię, 1956 rok, to pamiętam dokładnie to ministerstwo, no i rok później, ale to już byliśmy uformowaną orkiestrą. Właśnie w 1957 roku, w kwietniu chyba, zakładamy Hot Club Hybrydy. Wiedzieliśmy co nieco, dlatego że co było dla nas, dla mnie przynajmniej bardzo ważne, chodzić na koncerty Melomanów. Melomani przyjeżdżali z Łodzi i pamiętam, był taki barak na Wspólnej, gdzie żeśmy chodzili, żeby posłuchać Melomanów. Wtedy pierwszy raz, że tak powiem, mieliśmy okazję posłuchać na żywo dobrego jazzu. Bo tak to nie było na żywo nic innego.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Ale właśnie, posłuchać. Trzeba było się skądś uczyć, jakoś formować. Na czym to polega, skąd to się w ogóle brało wtedy?**

WITOLD KROTOCHWIL: To jest troszkę dla mnie takie enigmatyczne, bo skądś żeśmy brali te tematy, harmonię mieliśmy, to musiały być jakieś płyty, bo nut nie było żadnych.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Nut to wiem. Radio, oczywiście Radio Polskie niewiele dawało...**

WITOLD KROTOCHWIL: Radio tak, ale radio to jest takie uciekające, prawda? Ja pamiętam, miałem starszą o 11 lat siostrę, była w Szarych Szeregach i później po wojnie były tzw. potańcówki, ponieważ myśmy mieszkali na Pradze i nasze mieszkanie ocalało, i był jeden trochę większy pokój. Jak się odstawiło stół na bok, to troszkę starsi koledzy mojej siostry, którzy wrócili z Zachodu, mieli trochę płyt. I to była pierwsza, że tak powiem, to była moja inspiracja. Pamiętam, że ja pod tym stołem się ukrywałem, jak oni tańczyli i słuchałem tych płyt. I to były płyty typowo swingowe, amerykańskie. To był jakiś taki pierwszy pierwszy mój kontakt z tą muzyką. Bardzo możliwe, że to mnie nieświadomie jakoś zainspirowało. A później to musiały też być jakieś płyty.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Czy panowie dysponowali na przykład magnetofonem do zgrywania?**

WITOLD KROTOCHWIL: Proszę pana, była jedna próba. To nasz klawecista, Włodek Kruszyński miał jakiś magnetofon, typ magnetofonu, który zakładało się na adapter na gramofon. Jakoś to było bardzo skomplikowane. Tu chodziło, prawda, o napęd tego, gramofon to był napęd. To było niesamowite, że można było coś nagrać, ale magnetofonów prawdziwych to do końca naszej działalności, czyli do 1960 roku nie pamiętam, żebyśmy mieli.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Wszyscy wspominają te przekładki techniczne...**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, tak, to jest taka nakładka...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Nut, wspomina pan, nie było.**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie, nut nie pamiętam.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Ktoś panu zapisywał to czy to było wszystko na pamięć?**

WITOLD KROTOCHWIL: No nie, pisaliśmy, bo przecież trzeba było zapisać aranże, prawda, były aranżowane... Np. temat, prawda, był aranżowany w głosach, więc to trzeba było zapisać wszystko.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, i nagle rozumiem, że to się odkrywało po drodze, coś takiego jak transpozycja, odkrywało się po drodze akordy, funkcje wszystkie...**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Rozumiem, to wszystko organoleptycznie na panów spadło, a jak to zrobić. Totalne, rozumiem, samouctwo?**

WITOLD KROTOCHWIL: No tak, oczywiście, samouctwo to było, nie da się ukryć. Tak że to było strasznie... Ja się zastanawiałem nad tym, strasznie mi trudno odtworzyć, jaki to był proces, jak to było... Byliśmy niesłychanie entuzjastyczni, byliśmy bardzo zdyscyplinowani. Próby były, absolutnie, bardzo wiele, bardzo dużo próbowaliśmy, dwa razy tygodniu może albo... Na pewno raz albo dwa razy w tygodniu. I to było, tak powiem, taki obowiązek to był, żeby przyjść na tę próbę i grać, i bardzo żeśmy się uczyli wtedy siebie.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Jak wyglądało to z instrumentami? Bo przecież...**

WITOLD KROTOCHWIL: No nic, no jakoś tak było, że wszędzie było jakieś pianino, jakieś pianino

wszędzie było, to jak mówię, ta działalność kulturalno-oświatowa działała, jakieś pianina były. A każdy miał swój, tam trąbka, puzon, prawda, Jurek kupił pierwszą perkusję od Łapińskiego, perkusista innego zespołu, jeden z pierwszych, "Pinokio", prawda. Ale to nie pamiętam, kiedy to było. Jest jeszcze taki moment, że myśmy zarabiali dość dobre pieniądze na tych graniach, bo ja jeszcze pamiętam taką historię, że w drugiej połowie, gdzieś na początku 1956 roku, miałem 18 lat, wszedłem w konflikt z rodzicami, bo właśnie studia zawałam i się wyprowadziłem z domu do kolegi, no więc z czegoś musiałem żyć, to żyłem z tych pieniędzy zarabianych na tych graniach, na tych do tańca, prawda. Bo koncertów nie graliśmy. Wtedy jeszcze o koncertach nie było mowy, tylko granie do tańca.

JACEK WRÓBLEWSKI: **I właśnie co to było, to granie do tańca? Jak można by tę muzykę nazwać?**

WITOLD KROTOCHWIL: No bo ja wiem, to był 1956...

JACEK WRÓBLEWSKI: **To już było dixie?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, to było dixie. Absolutnie to było dixie, tak. No były jakieś bale, co graliśmy, to trochę potem, prawda, że jakiś tam bal sylwestrowy czy coś, to trzeba było też zagrać walca, prawda, jakiegoś tam okazjonalnego. Ale to... A nie, ale tak, to dixie graliśmy od początku do końca.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Bo właśnie wchodząc teraz, Duduś Matuszkiewicz już był na etapie swingu, już robił swoje pewne przymiarki nawet do jazzu nowoczesnego. No z takich wielkich postaci później, Janusz Zabiegiński dopiero startował, dopiero się uczył. Czy panowie w ogóle mieliście konkurencję?**

WITOLD KROTOCHWIL: Zaraz, Janusz był wcześniej i chciałem powiedzieć, że w tym czasie, kiedy myśmy jeszcze byli, tam jeszcze nie byliśmy w Hybrydach, to ja chodziłem do Stodoły bawić się i tam poznałem Janusza, i słuchałem Janusza. To też była inspiracja, bo Janusz starszy ode mnie o 4 lata, też wiedział lepiej ode mnie. Oni wyszli, to było... Zespół Janusza wywodził się z Zespołu Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej. On mówił "muzycy", prawda. Tak że w pewnym sensie... I Janusz też grał dixie. Janusz też grał dixie, wszyscy grali.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Dochodzimy właśnie do Hybryd, gdzie było to otwarcie Hot Club Hybrydy i takim stałym punktem Hybryd zawsze były dwa zespoły, to był zespół**

Zabieglińskiego i zespół Krotochwila. Ale tak jak dzisiaj wszyscy mówią, wspominałem ten pierwszy obraz, mówi się, że jednak pański zespół lepiej sprzęgał w tamtym czasie. Dlatego tak ja mówię o Januszu Zabieglińskim, że konkurencja może, ale czy w ogóle panowie wtedy realną taką konkurencję mieli przed Hybrydami jako zespół? Sam pan wspominał, próby był obowiązkowe. Tylko tak się można było dotrzeć.

WITOLD KROTOCHWIL: Myślę... Janusz był związany ze Stodołą, a myśmy byli wolni strzelcy. Myśmy grali na mieście, w różnych miejscach, najróżniejszych, w jakichś tam budach, w przykładowych jakichś świetlicach, jakieś takie... To ci, co organizowali te tańce, to oni kombinowali jakieś lokum, prawda.

JACEK WRÓBLEWSKI: **I potem szło, rozumiem, w naród?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak. A ponieważ nie było innych miejsc, nie było restauracji, gdzie się tańczyło... To chodziło o młodzież, to byli młodzi ludzie, którzy przychodzili.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Czy pamięta pan pełen skład tego swojego zespołu?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, oczywiście, ten skład, którzy się już wykrystalizował przed Hybrydami, to był tak: Jurek Bartz na perkusji, Zdzisław "Sis" Orłowski na basie, ja na fortepianie i następnie był Bogdan Styczyński, który przyszedł do nas z "Pinokia", Włodek Kruszyński na klarncie i Zbyszek Namysłowski na puzonie. I to myśmy w tym składzie przyszli do Hybryd.

JACEK WRÓBLEWSKI: **I czy pamięta pan to otwarcie wielkie?**

WITOLD KROTOCHWIL: Otwarcia nie pamiętam. Troszkę pamiętam, pamiętam troszkę, pamiętam, bo to nie było granie, chyba w tym nie było żadnego... W związku z tym, może potem... Wszyscy muzycy się zebrali, pamiętam dwie postaci na górze, tak, to był Tyrmand i Waschko. I to byli członkowie honorowi Hot Clubu. I oczywiście pamiętam, który był właściwie duszą tego wszystkiego, Janek Borkowski.

JACEK WRÓBLEWSKI: **I powstało... Zaczęło się granie.**

WITOLD KROTOCHWIL: No...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tylko była różnica...**

WITOLD KROTOCHWIL: Różnica była taka, że weszliśmy w struktury organizacyjne Zrzeszenia Studentów Polskich, które było nowo powołane wtedy, prawda. To było takie troszkę modelowane....

JACEK WRÓBLEWSKI: **Nie to bierutowskie, tylko świeże.**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie to komunistyczne. I wtedy zaczęła się, prawda, też gra nie tylko na różnych imprezach, prawda, do tańca, w Hybrydach się grało do tańca przecież, ale zaczęły się też jakieś koncerty. No i później, już nie pamiętam w którym roku, ale chyba 1958, kiedy z filharmonią została nawiązana współpraca i zaczęliśmy grać, prawda, w różnych miejscach w Polsce. Zaczęliśmy jeździć po Polsce. Była filharmonia i Poznań, i Wrocław, i Kraków, i...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Rozumiem, że to w Hybrydach po raz pierwszy to już pojawili się panowie... A może to tak dotarło do panów, że to już nie jest zespół taneczny, ale już jest to poważna kapela dixie?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak jest, to wtenczas przeszło od tego, prawda, okresu jak się grało do tańca, później zaczął się okres koncertowy.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, jaka różnica, może tak sobie powiedzmy, wtedy oczywiście była pomiędzy koncertem a pomiędzy tzw. potańcówką?**

WITOLD KROTOCHWIL: W zasadzie w graniu nie było wielkiej różnicy, bo myśmy się przykładali tak samo to grania do tańca, jak i do grania na koncercie i na klubie. Myśmy bardzo byli zaangażowani w to, co robiliśmy. To było bardzo istotne dla nas.

JACEK WRÓBLEWSKI: **I zaczęli panowie, już jesteśmy w Hybrydach, w tych Hybrydach państwo mieli stałe swoje miejsce, stałe terminy występów czy to było ustalane?**

WITOLD KROTOCHWIL: Jakiś czas było, że mieliśmy stały dzień, gdzie graliśmy, prawda, graliśmy do tańca. Tam, pamiętam, właśnie wtedy do nas, już później troszkę dobijał się do nas Tomek Szukalski z saksofonem...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Ale to były późniejsze lata. A jak długo ten okres hybrydowski trwał?**

WITOLD KROTOCHWIL: Gdzieś do 1960 roku, od 1956 do 1960 roku. Punktem, że tak powiem, apogeum naszej działalności to było to, że najpierw był w maju 1959 roku Festiwal Studencki w Krakowie, gdzieśmy zajęli pierwsze miejsce, znowu to uporządkowanie, pierwsze miejsce i w związku z tym zostaliśmy wytypowani do wyjazdu na Międzynarodowy Festiwal Studentów do Tuluzy i to był 1959 rok, proszę pomyśleć, festiwal był w Tuluzie we wrześniu, ale nas zabrali do Sandomierza w sierpniu na taki obóz kondycyjny, nazwijmy to, czyli indoktrynacja po prostu znowu, propaganda, indoktrynacja, tego...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Żeby wszyscy wrócili, rozumiem?**

WITOLD KROTOCHWIL: Coś takiego. No i tam graliśmy. Teraz śmieszna historia, bo spotkałem się rok temu z sędzią Jurkiem Stępnem, Jurek Stępień, na Kalatówkach, poprzednich, nie ostatnich, tylko poprzednich i żeśmy sobie gadali. On jest z Sandomierza i on pamiętał, on był od nas jakieś 5 lat młodszy, 6, 7. On pamiętał nasz koncert w Sandomierzu, no bo jak żeśmy byli tam na obozie kondycyjnym, to później musieliśmy dać koncert.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Też takie pytanie od razu, bo pan wspomina, wyście byli panowie w sierpniu w Sandomierzu, tak? A wyjazd był we wrześniu?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **To w tamtych latach coś takiego jak paszport, wiza, to się wyrabiało miesiącami. Paszportów nie miało się w domu.**

WITOLD KROTOCHWIL: To było pod egidą ZSP, Zrzeszenia Studentów Polskich, oni o wszystko dbali. Oni wszystko nam załatwili, więc to była podróż, prawda, pociągiem do Paryża, najpierw w Paryżu, tam był jakiś nocleg, później z Paryża do Tuluzy, później znów z Tuluzy do Paryża i tutaj spotkało nas niesłychane szczęście, bo te grosiki, cośmy dostali, pozwoliły nam na to, żebyśmy

mogli pójść do klubu jazzowego, słynnego Blue Note w Paryżu. I trafiamy tam na Stana Getza. Ja mam do dzisiaj wizytówkę, wizytówkę z tego klubu z autografami Stana Getza, Kennetha Clare'a i pianisty francuskiego, nie pamiętam, jak się nazywał. No to było niesłychane przeżycie, niesłychana sprawa, prawda, tośmy byli w tym...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Mówi pan, że te grosze, rozumiem, że to był pewien tzw. przydział dewizowy?**

WITOLD KROTOCHWIL: No coś tam żeśmy dostali na wyjazd, jakiś taki maluteńki dostaliśmy.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Jakieś takie rzeczy...**

WITOLD KROTOCHWIL: Poza tym mieliśmy wyżywienie za darmo i mieszkanie za darmo w Tuluzie i w Paryżu. To nam Zrzeszenie Studentów załatwiło.

JACEK WRÓBLEWSKI: **A teraz jak to wyglądało w samej Tuluzie? Jednak pierwszy poważny wyjazd zagraniczny.**

WITOLD KROTOCHWIL: Bo ja wiem, jak to było? Było niesłychanie oszałamiające, przede wszystkim widok tego. Jeszcze Tuluza na dodatek, to było... To jest bardzo barwne miejsce na pograniczu Hiszpanii właściwie. Pamiętam zapachy niesłychane, zapachy Gauloises i Gitanes, czyli papierosów, były wtedy bardzo modne, i zapachy oliwy, wszystkie ulice, smażyli na oliwie i jakoś tak pachniało tym wszystkim. Zapachy były niesłychane.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Inaczej spytam, czy pan się spodziewał rzeczy, które pan spotkał, zobaczył?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, tak, tak. No myśmy byli w końcu wszyscy w jakiś sposób świadomi tego, co się dzieje, świadomi politycznie i świadomi kulturowo, prawda. No już 1959 rok to proszę pamiętać, to już było... Po prostu to już się działo, już było bardzo dużo, już literatura zachodnia była dostępna, oczywiście określona, to nie było tak, prawda, żebyśmy zupełnie jechali matołki w ciemno, nie, nie. Tyle że oczywiście była oszołamiająca ilość, witryny sklepowe, prawda, ilość samochodów itd., jasność w mieście, dużo światła, prawda.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Jak państwa przyjęło?**

WITOLD KROTOCHWIL: Bardzo sympatycznie, bardzo sympatycznie, to pamiętam, że ludzie, np. jakoś tak się stało, że był jakiś człowiek, który miał Citroëna 2CV, samochodzik, prawda i pozwolił nam się przejechać, to pierwszy raz prowadziłem samochód. Gdzieś tam w polu oczywiście i tam w polu i... Ale oni byli bardzo życzliwi.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Powiedzmy drugą rzecz, bo o tym się zapomina. No pan jest tutaj z Warszawy, tu grała Warszawa, były też inne ośrodki, ale to działało tak troszkę niezależnie. Warszawa to było siedlisko dixie, to się tutaj rozwijało, do czego zresztą mocno pan rękę przyłożył. Nowoczesny to był raczej Kraków.**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, z tym że jeśli chodzi... Myśmy nie odczuwali jakoś specjalnie lokalnego patriotyzmu.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Po prostu tak się akurat ułożyło?**

WITOLD KROTOCHWIL: Było tak, jak było, prawda. Komunikacje były pociągiem, można było jechać, telefonicznie się nie tego... Ale myśmy utrzymywali dość, i dla nas to było ważne, kontakty z Krakowem, dlatego że były Juwenalia w maju i Zaduszki w listopadzie, i myśmy jeździli, wiele razy byliśmy w Krakowie właśnie i tam żeśmy poznali Kurylewicza, i innych krakowskich, prawda, muzyków.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Wakacje. Czy pan wtedy miał wakacje? Czy pan wtedy właśnie jechał do pracy?**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie, do pracy, my cały czas żeśmy w jakiś sposób pracowali, ale wakacje to pamiętam jedne wakacje, takie ważne, żeśmy grali w klubie gdańskim, w Żaku cały miesiąc i tam było też na zasadzie, prawda, tam mieliśmy udział w kasie tych, którzy wchodzi. I był właśnie jeden taki nasz znajomy, który to zorganizował, znajomy z Gdańska. Byłem siódmym członkiem do kasy, żeśmy równo dzielili tę kasę, pamiętam, żeśmy nawet oczywiście jak młodzi, głupi, przez sześć dni żeśmy grali, a siódmego szliśmy do Grand Hotelu i żeśmy wydawali te pieniądze w Sopocie w Grand Hotelu.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Czy pana dopadła służba wojskowa? Czy pana dopadły nakazy**

pracy?

WITOLD KROTOCHWIL: Na szczęście nie, ze względu na wzrok dostałem kategorię D.

JACEK WRÓBLEWSKI: **A nakaz pracy pana nie dopadł? Bo...**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie, nie, bo ja nie skończyłem wtedy żadnych studiów jeszcze, później zacząłem studiować, dopiero później, w 1960 roku.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Czyli był pan zostawiony sam sobie, mógł pan sobie grać?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, tak, tak, absolutnie byłem, tak, zupełnie nienagabywany przez nikogo, sobie grałem i to było zaakceptowane. Proszę sobie wyobrazić, że nawet zdarzyło się, co zresztą miało swoje reperkusje później na Pradze, że zrobiła ze mną w telewizji wywiad pani Dziedzic. To pani Dziedzic to była instytucja, niedawno stosunkowo umarła. I ponieważ jakoś tam był telewizor w kamienicy na Pradze, gdzie mieszkałem, no więc później byłem rozpoznawalny. To było na dobre i na złe.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Ale powiedzmy, pani Irena Dziedzic z byle kim rozmów nie przeprowadzała już wtedy, czyli już był pan pewną rozpoznawaną firmą?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, tak, tak. Ja byłem twarzą tego właśnie nowego ocieplenia, że tak powiem, kulturalnego, że prawda, już mogą grać jazz, młodzi ludzie są akceptowani.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie. I od razu idąc teraz dalej tym tropem, kiedy się gra, kiedy się gra coraz lepiej, zaczyna się szukać coraz większych inspiracji. Jacy byli wtedy pańscy tacy idole, nazwiska, których najchętniej pan słuchał albo chciał słuchać, czego pan poszukiwał?**

WITOLD KROTOCHWIL: Trudno było poszukiwać. To już brało się, co się dostało, ale to były nazwiska, prawda, dixielandowe, prawda, orkiestry, Eddie Condon później był naszym wzorem w jakiś sposób, stąd się wziął później modern dixielandy, prawda? Dołączyliśmy saksofon, Rudziński, Dyzio i to było tak prawda. Wtedy Wilson był jakimś wzorem grania, ale to może troszkę później, jak już się bardziej swingiem zacząłem interesować.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Wspomniał pan na samym początku tak troszeczkę mimochodem, to chyba wszystkich dotyczyło, że rodzina tak sobie patrzyła na granie jazzu.**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak. No nie bardzo. Nie, to nie była przyszłość dla nikogo, to absolutnie nie. Stąd był konflikt. Ja miałem być tak jak wszyscy inni, siostra była lekarzem, a ja miałem być inżynierem, ale się nie sprawdziło, w związku z tym był konflikt.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Każdy miał kimś być...**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **...zostawał artystą. Ale rozumiem, że po jakimś czasie skończył się konflikt, uznano: tak, jest pan muzykiem.**

WITOLD KROTOCHWIL: Oczywiście, zostałem zaakceptowany, tak. No to bardzo w takich rodzinnych sprawach było istotne, że ja się utrzymywałem sam, później już od 18 roku życia to już się utrzymywałem sam z tych właśnie grań do tańca najpierw, później różnych innych.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, potem przyszła taka historia, nazwijmy to może, nie wiem, czy to dobre określenie będzie, Big Band "Stodoła"?**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, no ale to już jest dalej.

JACEK WRÓBLEWSKI: **To jest troszkę późniejsza oczywiście historia, natomiast to są ciągle ci sami ludzie, których poznał pan w latach 50., kiedy....**

WITOLD KROTOCHWIL: Częściowo, częściowo. Historia dixie, "Modern dixielander" nazwaliśmy się na końcu, skończyła się w 1960 roku mniej więcej. I wtedy ja trochę grałem na własną rękę, robiłem zespoły, prawda, jakiś tam swing Krotochwila, jakieś takie rzeczy, ale później wyszła... Ja zacząłem w 1960 roku też studiować na polonistyce, normalnie dzienne studia. No i przyszła propozycja od Janusza Zabieglńskiego, który stracił pianistę. I to był gdzieś 1961-62 rok, gdzie ja się związałem z Januszem i to były najwspanialsze lata, że tak powiem, bo cóż, pianista w orkiestrze dixielandowej nie ma wiele do powiedzenia. Natomiast w swingowym układzie to już byłem równorzędny. Byłem i akompaniatorem, i solistą, prawda. A w dixie to właściwie tylko

akompaniator...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, być solistą, też odkrywano przecież, tu się zwróć trochę do lat 50., że zagrać jazz, to nie tylko zagrać temat, to trzeba jeszcze umieć improwizować, że są pewne zasady. Pan mówi, że pan tylko akompaniował, ale rozumiem, że pan doskonale się też musiał połapać w tym, co to jest improwizacja?**

WITOLD KROTOCHWIL: No nie, powiedzmy sobie, tu odwrotnie. Ja wiedziałem, co jest improwizacją, o tym drugim mniej wiedziałem. I tu właśnie u Zabieglińskiego, co też było, zaczęło się, zacząłem się uczyć tematu, że tak powiem, podawania tematu i takich rzeczy. Ale co też zawsze jest, myślę, w takiej sytuacji, że to dęciak, prawda, podaje temat. A samemu się jest, prawda, a pianista jest na drugim planie w momencie podawania tematu, później następuje równorzędność w sensie improwizowania. Ale to były najfajniejsze lata z Januszem w Swingtecie, uwieńczone nagraniem płyty zresztą z serii Polish jazz, prawda. To był chyba 1966 rok, ale przedtem no Stodoła, w Stodole działał też Heniek Majewski ze swoją orkiestrą i my żeśmy współpracowali w pewnym sensie, i stąd się wzięła historia, że Majewski, Zabiegliński i ja, żeśmy w jakiś sposób...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Nazwiska się powtarzają...**

WITOLD KROTOCHWIL: ...doszli do tego, żeby właśnie zrobić Big Band, że to będzie strasznie fajna rzecz. No i była strasznie fajna rzecz. I wtedy pamiętam, po raz pierwszy właściwie w jakiś sposób otrzymaliśmy pomoc ambasady amerykańskiej, dostaliśmy aranże i mogliśmy popatrzeć, jak to w nutach wygląda wszystko, prawda. No i nie wiem, jak to jest zaaranżowane chyba coś, ale to było bardzo kulawe wtedy. No w każdym razie była straszna frajda z tego Big Bandu "Stodoła".

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, ale powiedzmy sobie teraz takie nazwiska. Na ogół w Polsce powtarza się te lata 50., taki zestaw nazwisk: Duduś, Trzaskowski, Kurylewicz, Tyrmand. Pan dorzucił jeszcze dwa nazwiska do tego wszystkiego, to znaczy Janek Borkowski i Janusz Zabiegliński. Może dlatego, Janusz Zabiegliński w postaci dixie przede wszystkim i dlatego może tak się o nim nie wspomina, ale może od niego zacznijmy. Jak pan właśnie kojarzy Janusza Zabieglińskiego?**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie, Janusza Zabieglińskiego nie kojarzę z dixie, Janusz Zabiegliński to przede wszystkim swingowiec, to jest człowiek, który właśnie dołączył później saksofon do swojego klarnetu pierwotnego i oparliśmy repertuar na Bennym Goodmianie, na Count Basim, na

tych standardach swingowych.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Jaką był osobowością?**

WITOLD KROTOCHWIL: On był taki bardzo spokojny, bardzo był spokojny, ale w jakiś sposób miał autorytet i żeśmy znakomicie współpracowali, znakomicie. To była bardzo, bardzo piękna postać.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Wie pan, dlaczego pytam, bo Janusza Zabieglińskiego ja spotkałem już w latach 80. w Chodzieży, nie wiem skąd, ale wokół niego istniała jakaś taka aura człowieka, który od razu miał jakiś autorytet, chociaż jeszcze nic nie powiedział, nic nie zrobił. Strasznym szacunkiem się cieszył.**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, tak, bo no taki był, że po prostu wiedział, co mówi i zawsze, że tak powiem, u podstawy leży jakaś umiejętność. On umiał i grać, i umiał spokojnie prowadzić, rozmawiać z ludźmi. Było bezkonfliktowo, to chyba pięć, sześć, tak, żeśmy grali 1964-65 rok. To były wyjazdy zarobkowe do Finlandii, do grania. Trzy miesiące najpierw, a później cztery miesiące. Janusz Zabiegliński, Mały Bartkowski i ja, takie trio żeśmy grali cztery miesiące. A tam wie pan, taki wyjazd, właściwie jest się cały czas ze sobą bardzo blisko. To były cztery miesiące razem bez najmniejszego konfliktu.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Zespoły się rozlatują...**

WITOLD KROTOCHWIL: Tak, bynajmniej, nie było konfliktu cztery miesiące i później dalej utrzymywaliśmy bliskie kontakty, tak że to świadczy o charakterze, prawda, może trochę moim też, ale przede wszystkim Janusza, który był ten...

JACEK WRÓBLEWSKI: **Następne nazwisko, które do tej pory nie padało, Jan Borkowski.**

WITOLD KROTOCHWIL: Jan Borkowski. To się wiąże przede wszystkim z organizowaniem jazzu ogólnie, że tak powiem, w Hybrydach.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Roman Waschko też wtedy...**

WITOLD KROTOCHWIL: Roman Waschko to był taki, który się z boku doczepiał, że tak powiem, nie wiem, on po prostu chciał się pokazywać i pokazywał się jako konferansjer na koncertach, prawda. No i cały czas w środowisku bardzo elegancko ubrany, zawsze taki... Ale to człowiek, z którym właśnie ja nie miałem żadnego kontaktu.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Leopold Tyrmand.**

WITOLD KROTOCHWIL: No to była z kolei postać, która imponowała. To była postać, która imponowała. Ja pamiętam, jak spotkałem pierwszy raz Tyrmanda, to jeszcze w Stodole, koło 1956 roku albo wcześniej. Otóż Tyrmand, żeby napisać "Złego", to musiał wejść w kontakt z warszawską łobuzerią, nazwijmy tak. Był taki człowiek, który był bardzo w pewnym sensie wzorem tego "Złego", to się nazywał Atom, przezwisko Atom. I pamiętam, bo ja wtedy chodziłem do Stodoły, nie grałem w Stodole jeszcze, tylko chodziłem do Stodoły, ale już znałem muzyków i mnie znali. I właśnie Tyrmand, żeby jakoś się odwdzińczyć temu z Ochoty, to był gang z Ochoty, ale byli znali w całej Warszawie. To były straszne rzeczy wtedy, to broń, noże, kastety. To on wprowadził do Stodoły, bo do Stodoły mieli wstęp tylko studenci politechniki w zasadzie albo studenci w ogóle, ale głównie tej, a to zwykły łobuz i Tyrmand go wprowadził do Stodoły jako rodzaj podziękowania za to, co tamten mu zdradził. Wtedy pamiętam właśnie tego Atoma, coś przerażającego. No to były takie czasy dość dziwne.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Ale bez konsekwencji to się wszystko skończyło, rozumiem?**

WITOLD KROTOCHWIL: Nie, absolutnie. Nie, to było na zasadzie przyjacielskiej bardzo. Przyjaciół, fajnie mieć takiego ochroniarza w Warszawie, którego się wszyscy boją. Byliśmy zawsze troszkę jako muzycy uprzywilejowani w tym sensie, że nie ruszano nas, nie ruszano.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Naszym gościem był Witold Krotowil.**